

# Arabska wiosna ludów a solidarność międzynarodowa

24 lutego 2011

Rewolucje w Tunezji i Egipcie przyszły jak niezapowiedziany gość, którego jednak od dawna oczekiwaliśmy. Zaskoczyły wszystkich – od polityków, przez ekspertów po agentów wywiadu – a jednocześnie każdy wiedział, że musiało do nich dojść. Wskazywało na to zbyt wiele procesów – gospodarczych, demograficznych, technologicznych czy politycznych.

Spośród wszystkich przyczyn rewolty w Egipcie jedna wydaje się szczególnie ważna i podstawowa, a do tego najtrudniejsza do zmiany – Egipt leży na Południu. I nie chodzi tu o południowe wybrzeże Morza Śródziemnego, ale o przynależność do „milczącej większości” – grupy biednych krajów rozwijających się, które nie załapały się na podział tortu globalnego bogactwa i władzy. Będące po drugiej stronie bogate kraje Północy, do których należy też Polska, nie są wcale pewne czy chciałyby zmieniać obecną sytuację. A światowe różnice rozwojowe sprawiają, że sama rewolucja, pomimo że zakończyła się sukcesem, nie zmieni znacząco losu mieszkających tam ludzi.

W telewizyjnych przekazach z placu Tahrir, wśród transparentów i haseł „Mubarak musi odejść” powtarzał się podobny scenariusz: młody mężczyzna pomstując na rosnące ceny żywności mówi otwarcie, że „nie mogli już dłużej tak żyć”. „Nie mogli tak żyć” dosłownie – bo nie mieli za co. Potwierdza to przekonanie części obserwatorów, że chociaż postulaty protestujących były polityczne, źródła buntu były ekonomiczne. I to należy uczciwie przyznać Mubarakowi, że w dużej mierze od niego niezależne i niezawinione. Bo w jaki sposób odpowiada on za to, że przez świat przetaczał się kryzys finansowy, że globalny kryzys żywnościowy wywindował ceny żywności w Egipcie, a w efekcie procesów demograficznych na egipski rynek pracy wkraczały lawinowo rzesze młodych bezrobotnych.

Gdyby w rewolucjach w Afryce chodziło tylko o obalenie dyktatury czy zmianę jednego systemu na inny, sytuacja nie byłaby aż tak poważna. Wydaje się jednak, że u źródeł problemu jest pytanie o sprawiedliwość międzynarodowego systemu gospodarczego petryfikującego podziały na bogatą Północ i biedne Południe. Bo jak wytłumaczyć wstrzemięźliwą i niezdecydowaną reakcję USA i UE – największych championów demokracji i praw człowieka na świecie – na demokratyczny zryw uciemiężonego ludu. Nie zadziały tu tylko obawy o utratę wpływów na strategicznym Bliskim Wschodzie. Raczej politycy wiedzieli, a społeczeństwo czuło, że jesteśmy częściowo współwinni za to, co działo się w Egipcie. Nie tylko dlatego, że utrzymywaliśmy kontakty z dyktatorami, ale jeszcze bardziej dlatego, że utrzymywaliśmy system gospodarczy, który skazywał Egipcjan na biedę. Chodzi tu zatem nie tyle o wielką geopolitykę, ile o wielką geo-ekonomię.

Czy tysiący polskich turystów w Egipcie nie dziwiło, że tygodniowy pobyt nad Morzem Czerwonym – z przelotem, czterogwiazdkowym hotelem, całodziennym wyżywieniem – mógł kosztować nawet poniżej 1200 zł – okazja niedostępna raczej nad Bałtykiem nawet w zimie? Nie oszukujmy się – nam mogło być tak dobrze, bo im było tak źle. Ile z tej sumy mógł otrzymać ostatecznie recepcjonista z naszego hotelu czy przewodnik? A i tak są w lepszej sytuacji niż 10% Egipcjan, którzy w ogóle nie mają pracy i znaczna większość, która zarabia marnie w innych branżach. Średni dochód roczny na mieszkańca w Egipcie, po uwzględnieniu siły nabywczej pieniądza, to 6 tysięcy dolarów, czyli trzykrotnie mniej niż w Polsce gdzie wynosi ponad 18 tysięcy USD. 29% ludności to analfabeci, a 20% żyje w ubóstwie, czyli za mniej niż dolara dziennie. Egipcjanie to społeczeństwo młode (średnia to 24 lata, wobec np. 38 lat w Polsce), jednak młodzież nie ma perspektyw na takie życie, jak odwiedzający ich tłumnie zachodni turyści.

Warto przypomnieć słowa Ryszarda Kapuścińskiego, głównego w Polsce rzecznika nieuprzywilejowanych: „zapomnieliśmy, że my,

ludzie Zachodu, stanowimy niewielką część ludzkości na naszej planecie. Że na naszej zabawie i rozrywce towarzyszy pogłębiający się podział świata, rosnące nierówności. Świat zaczyna dzielić się na 20-procentową mniejszość beneficjentów i 80-procentową większość zmarginalizowanych". Wydarzenia w Egipcie powinny uzmysłwić nam, że istotnie żyjemy w globalnej wiosce, w systemie naczyń połączonych i ponosimy za siebie wzajemną odpowiedzialność. Stare ludowe porzekadło: „niech na całym świecie wojna byle polska wieś spokojna” nie nadaje się zupełnie do opisu współczesności. Aby naprawdę pomóc Egipcjanom, innym mieszkańcom Południa, a ostatecznie także nam samym niezbędne będą istotne zmiany.

Po pierwsze należałoby zacząć traktować poważnie pomoc dla biedniejszych krajów. Pomoc rozwojowa przestała być bowiem tylko moralnym obowiązkiem i aktem jałmużny – staje się koniecznością naszych czasów. Pani Ngozi Okonjo-Iweala – dyrektor zarządzająca w Banku Światowym przekonywała podczas styczniowej konferencji w Warszawie, aby przestać „myśleć o pomocy jako działalności dobroczynnej, ale lepiej jako o długookresowej inwestycji gospodarczej”. Jeszcze dalej idzie amerykański prezydent Barak Obama, który na specjalnej sesji ONZ poświęconej Milenijnym Celom Rozwoju we wrześniu ub. r. mówił, że USA „uznaje wsparcie rozwoju nie tylko za nakaz moralny, ale też jako imperatyw strategiczny i ekonomiczny”. Stąd współpraca rozwojowa została włączona jako istotny element do amerykańskiej Strategii Bezpieczeństwa Narodowego. W podobnym kierunku ewoluuje stanowisko Unii Europejskiej, dla której kwestie rozwojowe odgrywają coraz ważniejszą rolę w stosunkach zewnętrznych.

Mimo tych pozytywnych zmian ciągle pomoc rozwojowa lepiej wygląda w deklaracjach niż w praktyce. W 2008 r. kraje OECD wydały na ten cel ok 120 mld dolarów. To dużo, ale ciągle poniżej potrzeb krajów biednych i obietnic składanych przez bogatych. Tylko 5 państw OECD wywiązało się z zobowiązań przyjętych po raz pierwszy już w 1970 r. i potem wielokrotnie

ponawianych, aby przekazywać na pomoc dla najbiedniejszych 0,7% PKB. Szanse osiągnięcia do 2015r. Milenijnych Celów Rozwoju, które mogłyby uratować życie milionów i poprawić warunki życia miliardów osób stają w się coraz bardziej wątpliwe w następstwie światowego kryzysu finansowego. Jednocześnie same USA na ożywienie własnej gospodarki w 2009 r. przeznaczyły w ramach pakiety stymulacyjnego 787 mld dolarów. Budżet na wojnę w Iraku spadł (!) w 2009 r. do 95 mld dolarów. W tym samym czasie na oficjalną pomoc rozwojową dla kilkudziesięciu krajów ubogich USA przeznaczyły niecałe 29 mld dolarów – jedynie 0,16% amerykańskiego PKB. Przy tym o ile pomoc wojskowa dla Egiptu kosztuje Amerykę 1,3 mld dolarów rocznie, wsparcie cywilne dla tego kraju w 2008 r. wyniosło 435 mln dolarów. Nieco lepiej wypada w tym świetle UE, która przeznaczyła dla Egiptu w 2008 r. 450 milionów euro, choć w przeliczeniu na mieszkańca to ciągle tylko 5,5 euro.

Sama pomoc rozwojowa zresztą nie rozwiąże problemu. Potrzebna jest spójność wszystkich polityk krajów rozwiniętych, które wpływają na sytuację w krajach rozwijających się – np. handlowej, imigracyjnej, rolnej – tak, żeby nie zabierać jedną ręką tego, co dajemy drugą. Przykładowo polskie społeczeństwo oczekuje od rządu skutecznej walki w Brukseli o jak najwyższe dopłaty dla polskich rolników, zapominając, że tym samym skazujemy rolników w Egipcie na niepewny los. Według danych OECD całkowite wsparcie sektora rolnego w krajach rozwiniętych wynosi w ostatnich latach ponad 376 mld dolarów – to trzykrotnie więcej niż cała pomoc rozwojowa dla ponad stu krajów rozwijających się. Tylko Unia Europejska przekazała na dopłaty bezpośrednie dla własnych rolników 39 mld euro w 2010 r., podczas gdy na wsparcie różnych sektorów w ponad 100 państwach przeznaczają nieco ponad 50 mld euro. Ciągłe interesy narodowe biorą górę nad solidarnością globalną, a cele krótkoterminowe nad myśleniem długofalowym.

Zapominamy jednak, że taką sytuację będzie coraz trudniej utrzymać. Nie doceniamy do końca skutków globalizacji i

postępu technologicznego, a zwłaszcza rozwoju mediów. Świat nigdy nie był równo zamożny – to prawda, – ale też świadomość tych nierówności nigdy nie była tak powszechna. W XV w. mieszkańcy jurty na stepach Azji nie zazdrościli bogactwa weneckim kupcom, bo zwyczajnie nie wiedzieli o ich istnieniu. Dzisiaj, kiedy telewizory i anteny satelitarne znajdujemy w afrykańskim buszu, w obozach dla uchodźców w Palestynie, niedostępnych górach Hindukuszu, slumsach Mumbaju czy Kinszasie – ubodzy wiedzą, że można żyć inaczej. Lepiej. Rozbudzone aspiracje rozmiągają się z możliwościami ich zaspokojenia. Rodzi się frustracja i szukanie winnych.

Wydaje się, że Egipcjanie nie przeprowadzają swojej rewolucji, dlatego że chcieli zachodniej demokracji, ale bardziej zachodniego standardu życia! Chcieli tego, z czym kojarzą sobie demokratyczny Zachód – godnych dochodów, bezpieczeństwa socjalnego i egzotycznych podróży. Jeśli okaże się, że automatycznie za jednym nie przyjdzie drugie – mogą się boleśnie rozczarować. A kiedy nie będzie już dyktatora, który skupiałby na sobie gniew ludu, winnym może okazać się Zachód, który przecież ustalał współczesny porządek ekonomiczny i który broni swojej uprzywilejowanej pozycji. Odżyją postkolonialne urazy i antyzachodnie resentymenty, wzbogaci się pożywka dla rewolucji, fundamentalizmu i terroryzmu. Warto zacząć w końcu uważnie słuchać Ryszarda Kapuścińskiego: „Jeśli nie pomożemy biednym, nie zasypimy choć w minimalnym stopniu nierówności na świecie, to się pozabijamy”. Jeśli przepowiednie o wojnie cywilizacji mogą się kiedyś zrealizować to będzie to najpewniej wojna cywilizacji bogatych i cywilizacji biednych.

Dlatego najważniejsze, czego dzisiaj potrzebujemy – w czasach globalizacji i współzależności – to zmiany sposobu myślenia – potrzebujemy globalnej perspektywy i poczucia globalnej odpowiedzialności. Jeśli nie rozbroimy tej tykającej bomby – ogromnych dysproporcji w rozwoju i możliwościach – możemy spodziewać się wkrótce kolejnych Egiptów i dalszej

destabilizacji innych regionów. Bez wypracowania nowego porozumienia dotyczącego bardziej sprawiedliwego międzynarodowego systemu gospodarczego zryw Arabów zbyt wiele w ich życiu nie zmieni. Jako Polacy pamiętajmy o tym, o czym pamiętają wykształceni Afrykańczycy, jak wspomniana pani Okonjo-Iweala, która zwróciła uwagę, że Polska otrzymała już od UE 66 mld euro pomocy.

To także wyzwanie dla nas wszystkich – ludzi Zachodu – czy bylibyśmy w stanie podzielić się swoim dobrobytem, zrezygnować z części przywilejów (jak choćby tanie wycieczki do Egiptu) po to aby dać szansę „milczącej większości” na lepsze życie. Dużo łatwiej jest zadeklarować swoje poparcie dla demokratycznych przemian – dużo trudniej zgodzić się na realne wydawanie naszych podatków na pomoc rozwojową czy uszczuplenie naszych dochodów po to, aby pracownicy w odległym kraju otrzymywali godne wynagrodzenie. To zdecydowanie bardzo poważny dylemat. Zwalczają się dwa instynkty – chęć pomocy bliźnim i obawa przed pogorszeniem własnej pozycji. Bądźmy jednak konsekwentni. Nie popierajmy protestujących w Afryce, jeśli nie jesteśmy gotowi podzielić się z nimi naszym bogactwem.

Autor: Patryk Kugiel

Źródło: [Arabia](#)